

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 „ — 40 „
1/4 „ — 20 „
1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

W oczekiwaniu.

Czy nawoływania prasy polskiej do zastosowania t. zw. „retorsyj” względem miejscowych Litwinów pochodziły z ich własnej inicjatywy, czy też były inspirowane zgóry — tego na razie nie wiemy. Faktem jednak jest, że skutek zamierzony cdniosły. Władze polskie aresztowały i osadziły w więzieniu około 30 osób narodowości litewskiej pod rozmaitemi zarzutami. W odpowiedzi na to grupa studentów w Kownie po burzliwym wiecu dopuściła się szeregu ekscesów w stosunku do rozmaitych instytucji i przedsiębiorstw polskich, tłukąc w nich szyby i demolując nawet tu i ówdzie wewnętrzne urządzenia.

Zanosilo się na grube awantury po obu stronach linii administracyjnej, które mogły doprowadzić do poważnych konsekwencji. Na szczęście incydent nie przybrał szerszych rozmiarów. Prasa i cała wogóle opinia litewska potępiła bardzo stanowczo wybryk roznamiętnionej młodzieży akademickiej, która też prędko się uspokoiła, w Wilnie zaś władze cofnęły pozwolenie na wiec protestacyjny, organizowany przez endecję, który łatwo mógł się zakończyć wystąpieniami analogicznymi do ekscesów kowieńskich.

Do załagodzenia zaś wzbierającego rozjątrzenia przyczyniła się najbardziej amnestja, udzielona przez rząd litewski, z okazji święta narodowego 16 lutego, skazanym za tajne nauczanie polskim działaczom oświatowym, oraz w odpowiedzi na powyższe zarządzenie częściowe zwolnienie aresztowanych Litwinów w Wileńszczyźnie. Po wypuszczeniu pozostałych ofiar retorsyj incydent zostanie całkowicie zlikwidowany i sytuacja pozornie przybierze dawny swój wygląd. Wydaje się jednakże, że nie na długo i że stan rzeczy trwający od kilkunastu lat w stosunkach

polsko litewskich, który można określić słowami Trockiego po pokoju Brzeskim „ni mira, ni wojny”, ma się ku końcowi i że należy oczekiwać w najbliższej przyszłości decydującego zwrotu w tej dziedzinie.

Wskazują na to głosy prasy zarówno polskiej, jak litewskiej, utrzymane w innym tonie, niż dotychczas. Pewne siebie, mocno akcentujące korzystne obecnie położenie międzynarodowe Polski, podkreślające odosobnienie Litwy artykuły pism polskich i pełne umiaru, nacechowane trzeźwością i realizmem artykuły pism litewskich, nie wyłączając półurzędówki, dają dużo do myślenia. Geneza i charakter ostatnich wypadków nie są dla nas dostatecznie jasne. Mamy wrażenie pewnej ich celowości. Zdaje się, że przybrały one inny obrót, niż się spodziewano. Możliwe, że wobec tego będą użyte inne sposoby, by sprawę zruszyć z martwego punktu. Krążą pogłoski o rozmaitych próbach pośrednictwa. Znajdujemy się obecnie w stadium jakby wyczekiwania i sondowania gruntu, to też niezmiernie trudno o ścisłą diagnozę sytuacji. Jedno nie ulega wątpliwości. Cokolwiek się stanie, będzie to wynikiem działania sprężyn zakulisowych. Społeczeństwo musi być przygotowane do przyjęcia faktów dokonanych. Jest ono zresztą z tą swoją bierną rolą oswojone i nie czuje się w niej źle. Inna rzecz, że wszelkie najzręczniejsze nawet posunięcia polityków i dyplomatów, czynione na własną rękę i nie będące rezultatem naturalnych tendencji rozwojowych — są zwykle nietrwale i zawodne.

Na razie poprzestajemy na powyższych uwagach, licząc się z tem, że najbliższa przyszłość pozwoli nam na głębszą i szerszą ocenę palącej kwestji.

Znikąd współczucia!

Naszemi ziemianami zaczynają się naprawdę interesować. Niedawno przytoczyliśmy głos osadnika, który piętnował z trybuny sejmowej ziemian kresowych za nielojalność w płaceniu podatków i z tego tytułu wzywał rząd do wywłaszczenia ich majątków za zaległości skarbowe.

Ostatnio, p. Lech Jarociński, w „Kurjerze Wileńskim” prawi morały ziemianom i poucza ich jak mają służyć ojczyźnie. Gdy głos osadnika rozlegał się groźnie i niecierpliwie, p. Jarociński, narazie jeszcze używa tonu pobłaźliwie moralizatorskiego, jakkolwiek dosyć natarczywie narzuca tutejszym ziemianom swoje poglądy co do ich obowiązków obywatelskich i patriotycznych. Nie wiedzielibyśmy kto zacytował p. Lech Jarociński, monitujący ziemian tutejszych z „niezależnego organu demokratycznego”, gdyby się sam nie zarekomendował. Jest też ziemianinem... ale nie tutejszego pochodzenia, przybył gdzieś z Polski rdzennej. Tytuł zaś do prawienia morałów tutejszym ziemianom czerpie stąd — jak sam mówi — że „z najlepszą wolą chce szarpnąć ambicje i poruszyć serca”... bo „pragnie spłacić dług i z miłością zwrócić całym Kresom, w formie troski to, co mu przez miłość pod postacią ziemi tu dano”. Z tego chyba można wywnioskować, że znalazł się na „Kresach”, po naszymu mówiąc, w roli prymaki. W każdym razie jest przybyszem.

O czemże poucza ziemianin z rdzennej Polski litewskich żubrów? Z programowych wynurzeń w „Kurjerze Wileńskim” można wyrozumieć, że tutejszych ziemian nie uważa za dostatecznie gorliwych patriotów, wytykając im brak aktywności w stosunku do rządowych tu poczynań. Wprawdzie jego morały są dosyć mgliście sformułowane, ale wygląda tak, że zarzuca ziemianom tutejszym pewien defetyzm państwowy, oskarżając ich o to, że za mało ofiar składają na ołtarzu *Rei publicae*. Naogół ton jego pouczeń publicznych jest nieprzyjemny dla ziemian — oskarżający. Wyraźniej wypowiada się w swoim trzecim wystąpieniu w „Kurjerze”, w liście otwartym do p. Zygmunta Bortkiewicza, z okazji jego przemówienia na obiedzie „Słowa”, wydanym na cześć ks. Janusza Radziwiłła.

Tu już zaczyna perorować na dobre, wpadając nawet w ton dosyć dosadny. Cóż tak niepodało się p. Jarocińskiemu w przemówieniu p. Bortkiewicza, że aż pośpieszył go publicznie napiętnować? Każdy, kto przeczytał w „Słowie” to przemówienie, musiał stwierdzić, że było ono arcylojalne. Więc co wzbudziło nieukontentowanie pana Jarocińskiego? P. Bortkiewicz w przemówieniu swoim poprostu wylewa rozmaite żale, że ziemianom kresowym źle się dzieje. Nic nie było jednak w tem przemówieniu nowego ponadto, co już wielokrotnie rozmaici reprezentanci ziemianscy publicznie wypowiadali. P. Bortkiewicz stwierdził, że ziemianstwo znajduje się w stanie masowej likwidacji. I bardzo się martwił, że ziemia prawie wyłącznie przechodzi w ręce nie polskiego elementu, przytem „wrogo dla państwowości usposobionego”. Pozostawiamy na sumieniu p. Bortkiewicza to oskarżenie w czambuł wszystkich parcelantów, rekrutujących się z włościan miejscowych, o „wrogość do państwa” — a stwierdzimy tylko, że to był ustęp z jego przemówienia „najmocniejszy”. Prawda, jeszcze powiedział p. Bortkiewicz, że „ziemianie tutejsi chcą żyć i umierać na

umiłowanej przez nich ziemi”, a także — „chcą przekazać ją swoim dzieciom, tak jak otrzymali od ojców”.

Nie podobało się to przemówienie p. Jarocińskiemu. Ma pretensję do tego żalącego się na kiepskie czasy reprezentanta ziemian, że nie wyraził radości, iż „żyjemy dziś na polskiej ziemi” i że nie usłyszał w jego głosie „tonu dumy z ofiar już dla państwa poniesionych i tych, które dalej ponosić trzeba będzie”. Nie był zadowolony z tego, że reprezentant Związku ziemian nie trąbił radośnie, lecz dosyć poziomo mówił o troskach i biedach tutejszego ziemianstwa. I z tej racji ciska tutejszym ziemianom stek gorzkich wymówek, że nie są dostatecznie gorliwi, radośni i... bohaterscy.

Dla znających dokładnie bardzo nieciekawe perypetje życiowe tutejszych ziemian, siedzących ryczałtowo po uszy w długach, pod sekwestrem, pod komornikiem, których tylko rzadko można dziś ujrzeć w teatrze, kinie, czy restauracji — śmiesznej są naprawdę te wymówki szlachcica z rdzennej Polski i jego patetycznie mentorski ton, zachęcający tutejszych hołyszów szlacheckich do nieomal jakiegoś bohaterskiego „harakiri”, ku chwale ojczyzny.

Sytuacja życiowa ziemian miejscowych, obiektywnie biorąc, jest fatalna. Z przedwojennego dostatku pozostały łachmany. Jeżeli porównawczo scharakteryzować stopę zamożności życiowej ziemianstwa miejscowego przeciętnie, to śmiało można byłoby zaklasyfikować całą tę klasę do kategorii urzędników 10-go stopnia służbowego. I oto tych, leżących na obydwie łopatki ziemian zachęca Jarociński, aby skakali niemal z radości, „że żyją na polskiej ziemi”; przypomina im niezłomnych rycerzy kresowych, mówi o dumie szlacheckiej, a nawet w przykry sposób wypomina to, że są potomkami przodków, którym nie skonfiskowano majątków.

* * *

Mimowoli nasuwa się wniosek, że ziemianie tutejsi nie mają przyjać w środowisku przybyszów z rdzennej Polski. Przeciwnie należałoby stwierdzić, że przybyli z tamtąd „rodacy” nie tylko nie okazują im przyjaźni, lecz, że są raczej względem nich zupełnie obojętni, a nawet wrogo usposobieni. Bo nie tylko osadnicy, o których już mówiliśmy, są nieżyczliwi dla ziemian miejscowych, ale i wszyscy inni, przybyli ludzie z Polski, równą nieżyczliwość im okazują. Czy to będą nauczyciele czy urzędnicy, czy osadnicy, czy nawet, zdawałoby się najbardziej bliscy — ziemianie — nie tylko nie kwapią się ich podtrzymywać, ale okazują im co najmniej chłodną obojętność. I napróżno p. Bortkiewicz straszy, że ziemia z polskich rąk tu się wymyka. Są nato sposoby lepsze, niż p. Bortkiewiczowi się wydaje, aby polskie pogłowię tu mnożyć, nie polegając na sile rozrodczej ziemian tutejszych. Walory kulturalne, na które tak często ziemianie się powołują — też nie mają znaczenia aktualnego w tej sytuacji, gdy rzeczniczy tych walorów świecą łachmanami. I komu są dziś w Polsce potrzebne te „zużyte rekwizyty kresowe”? Idąca nowa Polska ich nie uszanuje, co najwyżej odeśle do swoich lamusów muzealnych, a żyjące pamiątki zastąpi nowymi, dla siebie bardziej realnymi wartościami.

* * *

Gdy prezes ziemian wileńskich, p. Bortkiewicz, (ród którego zdaje się być litewskiego pochodzenia)

woła do swoich adoptowanych rodaków, że ziemia jego może przejść w ręce „niepolskie” „wrogie”, co oznacza — w ręce jego najbliższych sąsiadów włościan tutejszych, gdy alarmuje z tego powodu opinię polską, szukając w niej przychylności i pomocy — to czy nie słusznym jest, że spotyka go lekceważenie i obojętność? Czyż może na coś innego zasłużyć taki reprezentant kraju, który swoich odwiecznych, najbliższych sąsiadów nazywa wrogami? Co jest wart taki reprezentant dla państwowej racji stanu? Mogą być jego alarmy wykorzystane dla celów polityki bieżącej. Mogą na te alarmy przysłać polskich osadników, którym swoją ojcowiznę oddać będzie mógł p. Bortkiewicz chyba już ze spokojnym sumieniem. Ale też sama racja stanu, której chce służyć, uznać go będzie musiała za bankruta, nie tylko materialnego, lecz politycznego i moralnego. Jego strachliwy, skarżący się głos oznacza to, że warstwa przez niego reprezentowana nie tylko nie posiada walorów gospodarczych, lecz także nie posiada walorów politycznych i moralnych, gdyż nie posiada wrośnięcia w glebę ludzką, wśród której żyje. I kto wie, czy z punktu widzenia polskiej racji stanu nie mają słuszności i ten osadnik, wzywający do wywłaszczenia i ten „rodak” ziemianin, zaczynający nucić smętne requiem aeternam nad tą klasą, którą p. Bortkiewicz reprezentuje?

* * *

Dawno, dawno temu oderwała się szlachta tutejsza — dzisiejsi ziemianie — od pnia rodzimego, od ludu miejscowego, z którego wyrosła i z którym żyła przez całe wieki. Z ludu tego nie tylko ciągnęła soki, tworząc swoje dobra materialne, ale zabierała mu i wartości duchowe, zużywając je na budowę kultury dla innego narodu. I cóż z tego pozostało w kraju, naprawdę realnego, co dziś mieć może wartość? Oprócz rekwizytów historycznych, nie mających wartości bieżącej — pozostał lud, żywa, realna wartość.

Przesunęły się wieki całe — dla szlachty chwały i upadku, dla ludu nędzy i ucisku. I lud pozostał niemal nietknięty tą kulturą, którą tworzyła szlachta w imię ideałów mu obcych. Prawie pierwotny, ze swoją pradawną mową, ze swoją nędzą, ze swoją własną duszą, której nie tknęły wpływy obcej mu kultury.

Gdy porywać się zaczął do podnoszenia własnej, odrębnej wartości, własnej mowy, własnej kultury narodowej — szlachta nie tylko nie przyszła mu w tym z pomocą, lecz przeciwnie, uznała to za bunt przeciwko swojej supremacji. Ten stosunek szlachty, w rękach której skupione były największe dobra materialne kraju, do odrodzieńczych porywów ludu miejscowego — czy to litewskiego, czy białoruskiego — bezwzględnie zahamował pomyślny rozwój własnej narodowej kultury tych współrodaków, wykopał jednak przepaść między ludem i szlachtą. Nietylko z tytułu różnic i antagonizmów społecznych — bo nie one tylko u nas decydują — ale i z tego zamknięcia się szlachty miejscowej w nie naturalny, obcoplemienny klan, przepaść ta coraz się bardziej pogłębiała.

Przyszły nowe czasy. Ziściły się ideały polityczne szlachty. Uzyskała wszak od historii to, do czego dążyła w ciągu wieku zgorą. A jednak znalazła się w jakimś dziwnym impasie. Okazało się niepotrzebną dla tej ojczyzny, o której marzyła i której wierne służyła. Przyszli tu nowi ludzie, których uważała

za swych jedнопlemieńców, mówiący tym samym językiem. A jednak nie mogą się porozumieć! Gorzej, w języku tym mówią szlachcie tutejszej twarde i przykre rzeczy. Grożą nawet wyrzuceniem z ojcowizny.

* * *

Może na to już zapóźno. Ale czy nie spróbować jeszcze znaleźć wspólny język z tymi, z którymi nigdy nie mówiło się życzliwie, a z którymi szlachtę tutejszą łączy więzy krwi i ziemi? Może znajdują się wspólne interesy, które ułatwią porozumienie. I czy będzie to koniecznie kolidować z dobrem Rzeczypospolitej, które ziemianie identyfikują z doktryną nacjonalizmu polskiego? Wszak przodkowie, nie tylko tych, którym majątki skonfiskowano, chodzili pod sztandarem: „za naszą wolność i waszą”!

Trzeba pośpieszyć, bo p. Malski nagli, a i p. Lech Jarociński też się niecierpliwi.

Rek.

Ostatni numer „Włóczęgi” przynosi na wstępie nowe wyznaczenie wiary p. St. Świaniewicza, stanowiące zarazem odpowiedź na nasze uwagi o ewolucji ideowej klubu „Włóczęgów”. Nie obala ono wprawdzie naszego twierdzenia, że stanowisko programowe klubu uległo znacznemu odchyleniu od linii, wysuniętej przez p. St. Świaniewicza w pierwszym numerze „Włóczęgi”, nie pozostawia natomiast żadnej wątpliwości, iż obecne poglądy samego p. Świaniewicza mocno odbiegają od głoszonych przezeń jeszcze nie tak dawno zapatrywań.

Identyfikowanie idei krajowej z ideą Jagiellońską oraz pragnienie, by idea krajowa stała się *wspólną* ideą Polski Litwy, Łotwy, Estonji, Białorusi i Ukrainy — są zupełną nowością i godzą w samo założenie krajowości, jako dążenia do utrzymania i ożywienia zamierających tradycji odrębności i samodzielności W Ks Litewskiego. Ideologia krajowa czerpie swe wzory i natchnienie nie z polityki Jagiellonów, lecz z czynów i pomysłów Witolda Wielkiego. Wskutek tego, na co zresztą wskazuje sama jej nazwa, idea *krajowa* nie może mieć wzięcia i znaleźć wyznawców poza granicami naszego kraju, obejmującego ziemię litewsko-białoruskie.

To, o czym rozwódzi się p. Świaniewicz, jest wznowieniem dawnej koncepcji demokratów wileńskich i nic wspólnego z krajowością nie ma. Inna rzecz, że jedno drugiemu bynajmniej nie przeczy.

Przyjmujemy zatem do wiadomości, że klub „Włóczęgów” wraz z p. St. Świaniewiczem, staje obecnie mocno i wyraźnie w obronie programu federalistycznego, oraz, że do realizacji tego programu ma dopomóc mu wydatnie bliski związek z obozem rządów pomajowych, ale nie możemy się zgodzić, aby tego rodzaju stanowisko było „szerszym ujęciem idei krajowej”. Wogóle krajowości lepiej dać pokój!

W tymże numerze „Włóczęgi” znajdujemy ostrą, chociaż mało zrozumiałą replikę na artykuł p. t. „Nowy punkt widzenia”, zamieszczony w ostatnim numerze naszego pisma z r. ub. który uległ konfiskacie. Okoliczność ta zamyka nam usta, z czego możemy w tym wypadku tylko się cieszyć, uwalnia to bowiem nas od potrzeby reagowania na zawarte w notatce redakcyjnej „Włóczęgi” impertynencje.

Niefortunny protest.

Warszawa w swych dążeniach centralizacyjnych jest konsekwentną i nieugiętą. Ogarniają one wszystkie dziedziny. Nie uniknęło swego losu i Radio. Tak zwany budżet muzyczny radiostacji wileńskiej został skasowany. Oznacza to, że osobliwości naszego kraju, od wieków utrwalone między innymi w pieśni ludowej i muzyce, całkiem nie będą uwzględniane w scentralizowanych programach rozgłośni wileńskiej. Natomiast będzie więcej miejsca dla popularyzowania genjuszów warszawskich, którzy w twórczości muzycznej posługują się wszelkimi środkami z wyjątkiem melodii i harmonii.

Zaspani muzycy wileńscy przebudzili się. Zrozumeli oni, że skasowanie budżetu muzycznego w Radio wileńskim odbije się dotkliwie na ich własnym budzecie. Ale że nie wypada krzyczeć „jesteśmy głodni, potrzebujemy zarobić”, więc muzycy wileńscy przybrali swój protest w uroczyste szaty obrony muzyki polskiej. Pięć polskich towarzystw muzycznych w Wilnie protestuje i stwierdza, że:

a) obecny program Polskiego Radja nie daje obrazu życia muzycznego Polski, pomija bowiem przejawy tegoż, ograniczając się jedynie do uwiadczenia etnograficznych właściwości stolicy Polski, co jest zaprzeczeniem istotnego znaczenia takich ośrodków jak Lwów, Wilno, Kraków, Poznań i Katowice,

b) że pomijanie dorobku tych miast jest zaprzeczeniem istotnych obowiązków, jakie ciąży na Polskim Radju wobec muzyki polskiej”.

A więc z jednej strony niezadowolenie z pomijania właściwości etnograficznych miast „prowincjonalnych”, z drugiej strony osobliwa troska o muzykę polską. Czyżby Wilno czuło się powołane do dawania lekcji patriotyzmu Warszawie i dlatego jest mowa o miastach i jej muzyce, a nie o danym kraju? Czyżby inicjatorzy protestu mieli na myśli tylko własne kompozycje? Czemu niema ani słowa o rzeczywistej odrębności Wileńszczyzny w muzyce i pieśni ludowej?

Podpisało protest około 100 muzyków wileńskich. Czy zbudzeni z drzemki nie dojrżeli dobrze fatalnej redakcji protestu, czy może sądzili, że protest będzie skuteczniejszy, jeżeli będzie wygrał popularną nutę polskości, — trudno zgadnąć. Fakt pozostaje faktem, że pieśni białoruską czy litewską słyszeliśmy z radja wileńskiego rzadko, słyszeliśmy ją w zniekształconej formie i marnem wykonaniu — obecnie nie usłyszymy jej wcale.

Muzycy wileńscy mogą na tem wszystkim materialnie stracić, może to się nawet, kto wie, odbić na poborach pana dyrektora rozgłośni wileńskiej (wyrazna redukcja pracy). Nie tracą na tem słuchacze. Dla uzasadnienia jeden tylko świeży przykład.

Dnia 25 lutego b. m. Wilno nadawało na całą Polskę słuchowisko pod tytułem „Co śpiewa i tańczy wieś podwileńska”. Speaker wyjątkowo zapowiedział występ chóru białoruskiego. (Z zasady tego przymiotnika Radio uporczywie unika). Okazało się jednak, że był to chór Cerkwii Ś-go Ducha składający się w 90% z Rosjan, a śpiewał wprawdzie melodie białoruskie, lecz w większości do polskich tekstów. Wykonanie według orzeczenia fachowców dużo pozostawiało do życzenia. Gdy doszło do tańców, dowiedzieliśmy się przez Radio, że wieś podwileńska między innymi tańczy oberka. Pieśni litew-

skich i tańców ani krzty. Wszystko to razem wzięte stanowi praktykowane już nieraz przez radjo fałszowanie rzeczywistości przez tych, którzy nasz kraj znają jedynie z okna wagonu, gdy na posadę do Wilna jechali.

Czy unicestwienia takich audycji przez skasowanie budżetu należy żałować? Wprost przeciwnie. Można byłoby tylko cieszyć się. Niestety, i z Warszawy nic na to miejsce lepszego nie usłyszymy.

Reasumując to wszystko, należy jeszcze raz stwierdzić:

a) Przedsiębiorstwo radjowe w Polsce w dziedzinie słuchowisk muzycznych likwiduje swoją wileńską filję, co jest dowodem lekceważenia Wilna. Protest muzyków wileńskich, którzy w roku ubiegłym zarobili na audycjach muzycznych ponad 16 tysięcy złotych, w zasadzie jest słuszny, ale jest zredagowany niefortunnie i jednostronnie. Z winy kierownictwa Polskiego Radja w Wilnie poziom wszelkich tak zwanych „regjonalnych” słuchowisk muzycznych był tego rodzaju, że nikt ze słuchaczy u nas na likwidacji tych słuchowisk nie straci.

Pozostaje jeszcze życzyć, by takież los spotkał u nas wszelkie słuchowiska „gadane” w rodzaju „chwilek litewskich”. Przynajmniej mniejby było na świecie bałamucenia opinii publicznej.

Al. S.

Akcja matrymonjalna K. O. P.

P. kapitan J. Kobyłański na łamach „Polski Zbrojnej” z dnia 14.II b. r. wyraził oryginalny pogląd, dowodząc że Korpus Ochrony Pogranicza, oprócz strzeżenia granic państwa, ma jeszcze inne zadania do wypełnienia. Jednym z tych zadań jest zachęcanie kopistów do ożenku z kobietami „kresowemi” bez względu na ich narodowość i wyznanie.

W innej rzeczywistości, niż obecna, można byłoby sądzić, że autorowi chodzi o zniwelowanie różnic narodowościowych, wyznaniowych, lub kastowych w celach wytworzenia typu jednolitego człowieka, w myśl zasad kosmopolitycznych. Argumentacja jednak tej tezy oraz ogólny tenor artykułu nie pozostawiają wątpliwości, iż chodzi tu o nowy sposób polonizacji, sposób coprawda nie nowy, ale publicznie dotąd nieujawniany i nie zalecany.

„Z każdym niemal miesiącem — pisze p. K. — dzięki iście apostołskiej pracy K. O. P. — zacieśniają się i pogłębiają więzy łączące kresy z Macierzą”. Brzmi to mocno dwuznacznie. „Więzy zacieśniają się i pogłębiają”. Dobry to temat dla złośliwego karykaturzysty. Ale idźmy dalej śladem „apostoła”.

„Jest rzeczą niezbitą — czytamy tamże — opartą na życiowym doświadczeniu, uzyskanem w ciągu dziesięciolecia istnienia K. O. P. — że do wzrostu polskości na kresach przyczyniają się też małżeństwa, zawierane przez szeregowych K. O. P. — naturalnie wterdy tylko, kiedy małżeństwa takie pozostają na pograniczu. Według obliczeń — wstąpiło dołąd w związku małżeńskie z dziewczętami kresowemi 336 osób z K. O. P. w tem 279 podoficerów, a 57 strzelców. Z tego około 60 proc. to małżeństwa czysto polskie, reszta — związki z Czeszkami, Białorusinkami, Ukrainkami, Rosjankami, Niemkami i Litwinkami. Mówiąc o małżeństwach czysto polskich, zauważyć należy, że przyczyniają się one w dużej mierze do wzmocnienia polskości kresów. Już przez samo życie rodzinne i stykanie się z dalszą rodziną żony podoficer nastraja i uświadamia w kierunku patriotycznym członków tej rodziny. Rodziny te pod wpływem podoficera należą do kółek kulturalno-

oświatowych, sportowych, korzystają z bibliotek wojskowych, ze spółdzielni i t. d. Służą one również krzewieniu myśli państwowej na kresach przez wyrobione stosunki z miejscową ludnością, utrwalają polskość tych obszarów, które zostały skolonizowane przez osadników z głębi kraju".

Na innym miejscu w tymże artykule autor stwierdza, że „praca dowództwa K. O. P. idzie usilnie w kierunku dostarczenia podoficerom odpowiedniej wiedzy, potrzebnej im do spełnienia ich misji dziejowej, jaka spoczęła na barkach żołnierza K. O. P.” i wskazuje na potrzebę pomocy materialnej ożenionym szeregowym, którzy „gorzknieją w nędzy po ożenku i osiedleniu się na pograniczu.

Kwestja jest zbyt jasna, by ją szeroko komentować. Można jedynie zwrócić uwagę, iż mimo względów, jakimi autor w roli swata obdarza kobiety na pograniczu, na podstawie przytoczonych powyżej danych należy przyjść do wniosku, że w przeciągu dziesięciu lat, na 6 wspomnianych narodowości niepolских, wyszło zamąż za kopistów zaledwie około 130 kobiet narodowości nie polskiej. Czyli około 13 kobiet rocznie na wszystkie 5 narodowości i to na olbrzymiej przestrzeni granicznego pasa.

„Akcja małrymonjalna” na pograniczu, jak widzimy, do chwili obecnej daje skutki druzgocąco mizerne. Czy wpłynął na to brak wzajemności, czy też wiekami zakorzeniona wzajemna niechęć do ludzi innego języka i wiary—trudno ustalić. Jednego tylko można być pewnym. Podobne wynurzenia o zamiarach polonizacji przy pomocy małżeństw nie tylko tej polonizacji nie przyspieszy, lecz pośród ludności niepolskiej na pograniczu wywołać musi odruch obronny, zmierzający do unikania zamążpójścia dla męzowskich celów ubocznych.

Wystarczy tylko, by ludność na pograniczu wiedziała, że Korpusowi Ochrony Pogranicza niepowołani „apostołowie” narzucają zadania, nie odpowiadające potrzebom tej ochrony.

Hemo Sopiens.

Piszą do nas.

Głuche milczenie.

W Świecianach dnia 10 ub. m. odbył się VII walny zjazd nauczycielstwa polskiego. Czytając prasowe sprawozdania o tym zjeździe nie widać w nim napozór nic ciekawego: ta sama pompa, specjalny hymn zjazdowy na początek, chór, powitania z ramienia takich organizacji jak Związek Strzelecki, Związek Młodzieży Wiejskiej, przemówienie starosty powiatowego.

W normalnym stanie rzeczy możnaby zapytać co na zjeździe nauczycielskim ma do powiedzenia taki przedstawiciel „Strzelca”? W danym wypadku „Strzelec” niewątpliwie symbolizował współpracę militarysty z oświatą i dziwić się temu już dawno przestaliśmy, gdyż zbyt często podobne zjawiska dają się zaobserwować.

Nie należy też dziwić się, jeżeli na zjeździe rzuca się obfite frazesy o „dalszej rozbudowie mo carstwowej Polski”, chociaż, zdawałoby się, co może mieć wspólnego z pracą oświatową polityka imperialistyczna?

Dziwnem natomiast i niezrozumiałem jest, gdy uczestnicy zjazdu, naoczni świadkowie panoszącego się głodu wśród swoich uczniów i ich rodzin, pomijają to zjawisko milczeniem, rozwodzą się zaś szeregiem o „krzywdzie tych mas co na zapadłych wsiach niosą oświatę i kulturę, co zdrowie i życie nieraz często oddają pracy ciężkiej i nieocenionej”. Takie

przynajmniej zwroty tragiczne spotykamy w sprawozdaniach prasowych. Pomyślałby ktoś, że nauczycielstwo też przymiera głodem, pracuje dzień i noc i bezinteresownie, jak żołnierz na froncie. A rozchodzi się tylko o to, że nauczycielstwu, jak i urzędnikom pomniejszono pensje o kilka lub kilkanaście złotych.

Tej „tragedji” nauczycielstwa poświęcono znaczną część obrad zjazdowych. Jakże inaczej wyglądała ta „tragedja” na tle ponurej rzeczywistości wiejskiej!

Ktokolwiek miał możliwość porównać był nauczyciela wiejskiego w Wileńszczyźnie z bytem ludności, wśród której to nauczycielstwo pracuje, ten musi stwierdzić, że najgorsza „nędza” nauczyciela jest daleko znośniejszą od „dobrobytu” nawet najzamożniejszego chłopca. Jak wiadomo, na wsi ceny na zboże, nabiał i mięso są tak niskie, że za pensję nauczyciela czy policjanta, jakkolwiek te pensje byłyby małe, możnaby było wyżywić na dzisiejszej stopie życia wieśniaka nie jedną rodzinę i nie, dwie ale conajmniej pół wsi. Bez przesady.

O rozpiętości tej stopy życiowej dobrze wie nauczycielstwo, ale jeszcze lepiej wiedzą sami wieśniacy. Nic więc dziwnego, że obok wszelkiego innego rodzaju niechęci do nauczyciela na wsi, ta różnica pomiędzy niedośćgnionym dla chłopca dobrobytem nauczyciela a wyjątkową nędzą wygłodzonego chłopca wpływa decydująco na stosunek wsi do szkoły wogóle.

Trudno wymagać oczywiście od nauczycielstwa, by z własnej kieszeni pomagało ludności i nie dbało o swoją egzystencję, można natomiast i należy wymagać, by nauczycielstwo, skoro już u nas ma pretensje nie tylko do prowadzenia szkoły, lecz do odegrywania szerszej roli społecznej, choćby przy okazji zjazdu, poruszało zagadnienia ważniejsze od wysokości pensji i odmalowywało rzeczywistość we właściwym świetle. A rzeczywistość ta wskazuje, że ostatnimi czasy na wynędzniałej wsi są już wypadki masowego nieposyłania dzieci do szkoły. Tak naprzykład na terenie powiatu Świeciańskiego dwie wsie od samego początku roku nie posłały dzieci do szkoły i do dziś dnia nie posyłają. Władze szkolne przypisują to propagandzie białoruskiej. Tymczasem na perswazje nauczyciela i inspektora chłopcy odpowiadają zgodnym chórem: „Szkoła zadaleko, dzieci nie mają ani ubrania ani obuwia. Siedzieć w areszcie? Proszę bardzo. Czasu mamy pod dostatkiem, a może i wikt będzie bezpłatny”. O karze pieniężnej niema oczywiście i mowy, bo z próżnego i Salomon nie należy. Przypomina się tu popularny dialog z akcji subskrypcyjnej na pożyczkę narodową:

Wójt: Hryhory, podpiszcie pożyczkę choć na 10 złotych.

Hryhory: A ci niemożna było-h, panočku, ad siadzieć?

Takie jest nastawienie psychiczne wsi naszej, jej możliwości ekonomiczne i stosunek do szkoły.

A tymczasem nauczyciel ze wspomnianej szkoły, nic nie robiąc, otrzymuje oczywiście pobory i na zjeździe w Świecianach też zapewne solidarnie biedował nad swoją niedolą materialną.

Swirski.

Uzupełnienie.

Zasługi dla Kościoła tajnego szambelana pańskiego p. Al. Meyszowicza, skreślone wymownie

przez Laika w Nr. 3 — 4 „Przegląd Wil.“, można uzupełnić jeszcze jednym charakterystycznym szczegółem.

Obowiązujący do chwili obecnej konkordat Rzeczypospolitej Polskiej ze Stolicą Apostolską z r. 1925 wyraźnie powiada w art. 22:

„W razie sądowego skazania na więzienie, odbywać oni (duchowni i zakonnicy) będą tę karę w klasztorze lub w innym domu zakonnym, w pomieszczeniach na ten cel przeznaczonych“.

Tymczasem rozporządzenie ministra sprawiedliwości, zamieszczone w Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Sprawiedliwości (marzec 1927 r.), również wyraźnie nakazuje wszystkich skazanych przez sądy księży osadzać w trzech przeznaczonych na ten cel więzieniach, a mianowicie; Mokotowie, Wronkach i Drohobyczu.

Pierwszą ofiarą tego zarządzenia padł u nas proboszcz z Żodziszek, ks. Wincenty Godlewski, który odbywał karę w Mokotowie, razem z kryminalistami, od 24 marca 1927 r. do 14 lipca 1928 r.

Tak oto minister Meysztowicz respektował zagwarantowane Kościołowi w konkordacie polskim prawa i przywileje.

Archiwista.

Przedwczesna radość.

Czytamy w lutowym zeszycie pisma „K Soje dinieniu“:

Ubiegły 1933 rok, w rozwoju idei unjonistycznej u nas i zagranicą, przyniósł cały szereg zdarzeń, jakie tak lub inaczej mogły wpłynąć na najbliższą przyszłość ruchu unjonistycznego.

Wyliczmy te wypadki w porządku chronologicznym.

W końcu marca 1933 r., po długiej a ciężkiej i trwającej z przerwami długie miesiące chorobie serca, umiera protoihumen Wschodniej Misji Towarzystwa Jezusowego w Albertynie, o. Włodzimierz Piątkiewicz.

Samowolny wyjazd z Rzymu, wiosną roku minionego, o. Aleksandra Deubnera rozdmuchany zostaje przez wrogie unjonizmowi czynniki w Polsce, jawnie a tendencyjnie, do rozmiarów skandalu światowego i tak sfabrykowana niebyła sensacja trwa przez kilka miesięcy.

Latem nagle umiera wyczerpany podróżą, a chory na serce, wybitny przedstawiciel episkopatu polskiego arcybiskup Mańkowski, który swe nazwisko i szlachetne pióro związał z propagandą i obroną unjonizmu.

Jesienią ciężka a niebezpieczna choroba zmusza biskupa Michała d'Herbigny do opuszczenia Rzymu i poddania się czterem poważnym operacjom w Brukseli, jakie w następstwie zniewoliły go do długiego urlopu i przebywania, dla poprawy zdrowia w Nicei i jednocześnie uczyniły niezbędną zmianę na stanowisku prezesa *Komisji pro Russia*.

Oto są ważniejsze wydarzenia w kronice unjonizmu za miniony 1933 r. Wywołały one u wrogów unjonizmu wybuch długo żywionego uczucia bliskości jego upadku i końca, u mało dusznych zaś stronników niepokój i lęk o jego los.

Jednak dzięki Bogu, okazali się w błędzie jak jedni, tak drudzy.

W chwili obecnej mamy już możliwość w sposób najbardziej autorytatywny, z bezwarunkowo zasługującego na wiarę źródła, zakomunikować wszystkim naszym czytelnikom, że pomimo zgonu tak wybitnych unjonistów i bez względu na robiony szum dokoła o. Deubnera i bpa d'Herbigny, patronowana przez Jego Świątobliwość Papieża Piusa XI akcja unjonistyczna, będzie bez przerwy i osłabienia tempa, kontynuowana u nas dalej, jako integralna część zleconej następcy Św. Piotra Apostoła misji nawoływania braci odłączonych do jedności z Kościołem Macierzą.
Aby było jedno stado i jeden pasterz!

*

Od pewnego czasu pęta się po szpaltach prasy polskiej i rosyjskiej komunikat jakiejś prywatnej agencji, noszący tytuły „Doniosła reorganizacja Komisji „Pro Russia“, „Zmiany w Komisji Pro Russia“ lub tym podobne. Zawiera on tyleż błędów, ile w nim nazw i nazwisk!

Niewątpliwym faktem jest tylko ciężka a przewlekła choroba biskupa d'Herbigny, wniesienie przez niego prośby o zwolnienie go z prezesury Komisji i czasowe zastępstwo w niej msgr. Tardiniego. Wszystko inne w komunikacie, to tylko domysły przedwczesne lub wręcz nieprawda.

Wierutną nieprawdą są pogłoski o rzekomem przeniesieniu *Papieskiego Seminarjum Wschodniego* w Dubnie na Wołyniu do Jugosławji, a nowicjatu *Misji Wschodniej Towarzystwa Jezusowego* w Albertynie do Estonji. Dalej nieprawdą jest, że *Instytut Misyjny* w Lublinie został już (!) zlikwidowany, jakkolwiek z chwilą upadku koncepcji birytualistycznej w akcji unjonistycznej stracił on swą rację bytu. *Jednak funkcjonuje jeszcze do chwili obecnej.*

Administrator Apostolski w Charbinie, ks. dr. F. Abrantowicz bynajmniej *nie* został odwołany, lecz poważnie podupadłszy na zdrowiu, otrzymał wreszcie, po bardzo długich staraniach, *kilkumiesięczny urlop zdrowotny i wypoczynkowy*, który spędzi w Europie. Ta sposobność da mu też oczywiście możliwość złożyć w Rzymie sprawozdanie ze swych prac i udzielić szeregu kompetentnych wyjaśnień. Znowu dotychczasowy rektor *Russicum* w Rzymie, ks. Jaworka T. J. uda się do Charbinu wcale *nie* w charakterze następcy ks. Abrantowicza, lecz tylko jako *czasowy* jego zastępca, który też zwizytuje placówki unjonistyczne w Mandzuko i Chinach. W między czasie rządu w *Russicum* sprawuje — rzecz naturalna — vice rektor tegoż kolegium ks. de Régis T. J., którego kłamliwy komunikat zrobił już na oczekaniu rektorem.

Mamy oto jeszcze jeden dowód, jak niezmiernie łatwo w Polsce fantazjować na temat, co robi Rzym w sprawach wschodnich.

Vigilans.

Bibliografia.

Balticoslavica. Biuletyn Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie. Redaguje Erwin Koschmieder. T. I. Wilno. 1933.

Zadania i charakter wspomnianego wyżej Biuletynu redakcja w przedmowie określa jak następuje. Biuletyn miał być (dlaczego miał, a czem ma być?) ośrodkiem nauk o różnych narodach, styka-

jących się na terenie północnych i wschodnich granic Rzeczypospolitej, i w ten sposób przyczynić się do wzmocnienia kontaktu naukowo-kulturalnego między Polską a państwami ościennymi, odgradzonymi od niej — i przeważnie także od siebie — chińskim murem trudności językowych i tarć politycznych. Wobec tego Redakcja uważając za swoje zadanie przede wszystkim informowanie czytelników o ruchu naukowym, postanowiła rozwinąć tylko działalność sprawozdawczą, pozostawiając oryginalną twórczość naukową innym czasopismom. Uchwalono więc uruchomić biuletyn sprawozdawczy w zakresie archeologii, prehistorji, etnografji i filologii na terenie nadbałtyckim, t. j. litewskim, łotewskim, estońskim, fińskim, oraz sąsiednim słowiańskim, t. j. polskim, ukraińskim, białoruskim i rosyjskim.

Zgodnie z tem założeniem biuletyn zawiera kilka obszerniejszych artykułów o charakterze sprawozdawczym, jako to „Kongres archeologii bałtyckich w Rydze” W. Antoniewicza, „Folklorystyka w Estonji” O. Loorits’a, „Literatura Sowiecka w Niemczech” A. Luther’a, „Muzeum Białoruskie w Wilnie” A. Łuckiewicza, „Zakład Etnologii U. S. B.” Baudouin de Courtenay Ehrenkreutzowej i t. p., nader obszerny dział bibliograficzny oraz szereg recenzji.

Odbija dość rażąco od ogólnego tła biuletynu artykuł P. Sawickij’a p. t. „Eurazjanizm jako koncepcja naukowa”. Popierwsze dlatego, że nie jest to ściśle artykuł informacyjny, lecz rozprawa, uzasadniająca pewną tezę, powtóre zaś dlatego, że treść jej wykracza daleko poza ramy, określone w przedmowie przez Redakcję. Eurazjanizm jest to koncepcja wybitnie polityczno-historjograficzna i nie wiele ma wspólnego z wymienionymi w przedmowie czterema dyscyplinami naukowymi: archeologją, prehistorją, etnografją i filologją.

W związku z tem nasuwa się pytanie, czemu Redakcja ograniczyła swe zainteresowania wyłącznie do wspomnianych wyżej nauk? Dlaczego zostały pominięte tak ważne dla poznania ościennych narodów i zacieśnienia kontaktu naukowego między nimi i gałęzie naukowe, jak historia i geografia, względnie krajoznawstwo? Luka ta tembardziej jest uderzająca, gdy się widzi, że filologia jest interpretowana niezmiernie szeroko i że termin ten obejmuje również literaturę piękną. Znajdujemy więc recenzje z pracy o filozofji Gribojedowa, z przekładów Tolstoja, z badań nad twórczością Dostojewskiego, natomiast z dziedziny historii zaledwie jedną recenzję prof. Zajączkowskiego o rozprawie A. Pogodina „Varjagi i Rusi”, która, zdaje się, trafiła tu głównie z tego powodu, że wywody uczonego rosyjskiego potrącają o kwestje językoznawcze.

Biuletyn niezaprzewczanie zyskałby na wartości, gdyby uwzględnił ruch naukowy u sąsiednich narodów w całej rozciągłości, oczywiście w zakresie humanistyki.

Pewne zastrzeżenia wywołuje również stanowisko Redakcji co do języka wydawnictwa. Redakcja postanowiła drukować w językach obcych te artykuły, które mogłyby wzbudzić zainteresowanie zagranicą, tłumaczyć zaś na język polski artykuły obce, obliczone przede wszystkim na czytelnika polskiego. Dlatego jednak Redakcja uważa, że artykuł informacyjny o T-wie Przyjaciół Nauk w Wilnie (wydrukowany w języku niemieckim) bardziej będzie interesował koła naukowe zagranicą, niż także artykuły o Muzeum Białoruskim lub o Zakładzie

Etnologii U. S. B.? Albo czemu niektóre recenzje i notatki bibliograficzne są wydrukowane w języku niemieckim, gdy treść uwzględnionych w nich prac zasadniczo się nie różni od szeregu innych wydawnictw, omówionych w języku polskim?

Powyższe uwagi nasunęły się mi, jako laikowi. Do oceny fachowej tak specjalnego naukowego wydawnictwa nie jestem dość kompetentny.

a.

Drub. Fasc. I. Papieskie Seminarjum Wschodnie. Dubno (Wołyń) 1934.

Świeżo się ukazał w Dubnie organ papieskiej uczelni wschodniej. Za pozwoleniem władzy seminarjnej, wydrukowano go na prawach rękopisu. Napozór — jeszcze jedno pismo szkolne. Wziąwszy jednak pod uwagę, że zakład dubieński jest szkołą wyższą, nowe pismo odnieść należy do rzędu akademickich. Jest niem w zarodku i rozwinąć się na takie może.

Jak przystało na numer inauguracyjny, redakcja zamieszcza dość ciepło a pięknie zredagowany list do niej ks. biskupa łuckiego dr. Adolfa Szelażka, który powołał do bytu w Dubnie już w r. 1928 seminarjum wschodnie, jakie w r. 1931 z woli pap. Piusa XI ustąpiło miejsce obecnej szkole papieskiej. Tuż po nim we wstępie przemawiają do czytelnika alumn seminarjum, przesyłając powitalne *lectoribus salutem*...

Właściwą serję artykułów nowego pisma otwiera napisany po polsku szkic orientacyjny *O naszym seminarjum* (Sumarjusz po łacinie poprzedzają wszystkie artykuły). Jaśniej przedstawia się nam po tej lekturze geneza powstania szkoły duchownej w Dubnie. Wyczuwa się młodzieńcze pióro nasamprzód u adepta teologii i miłującego przyrodę poety w jednej osobie, Dymitra Filipowicza, gdy czytamy jego art. *Nasze wakacje nad Bugiem*. Związała ta wiązanka wrażeń i przeżyć zapoznaje nas kolejno z bogatą przeszłością dawnej stolicy Jadźwingów Drohiczynem n-B., z tem, jak upływał dla goszczących tu alumnów dubieńskich *ordo diurnus* i co ważniejszego zanotować tu mogło pióro kronikarza. Jest to artykuł białoruski. Dalej następuje fragmencik ze wspomnień o. Donata Nowickiego, podany w języku rosyjskim. Ukraiński artykuł Michajły Werguna nosi tytuł *Persza piatnica serpnia*. Tu piszą się następujące uwagi. Tekst św. Pawła z listu do Filipensów nia ma w tym wypadku waloru argumentu dla tezy autora artykułu. Pominięta jest rola wcześniejszej świętej Gertrudy, wybitnej benedyktynki. Brak też w argumentacji korektywów, jakich się domaga uginająca się jeszcze do dziś dnia, pod brzemieniem następstw wojny światowej ludzkość, względnie świat chrześcijański.

Ciekawą jest *Kronika*.

Kończąc jeszcze paru uwagami natury technicznej, Artykuły w językach krajowych winny mieć także tytuł, a nie łaciński! Zechciało się też redakcji niewiedzieć czemu wprowadzić z języka słoweńskiego do rosyjskiego — *siemieniszcze* (seminarjum)...

Zaznaczyć trzeba, że do wydania tego ciekawego czasopisma przyczyniła się ofiarą pieniężną pewna rodzina z Madrytu.

Addictus.

Kalendarz prawosławny na 1934 rok. Tomaszów Lubelski. Str. 205.

Z błogosławieństwem metropolity Dionizego, ukazał się i wyruszył w świat pierwszy u nas w ję-

zyku polskim „Kalendarz prawosławny”. Wydania go i zapewne zredagowania podjęła się prawie nieznaną dla Wilna Spółdzielnia lub Spółka Wydawnicza w Tomaszowie Lubelskim p. f. „Głós prawosławia”. Ze słowa wstępnego „Do czytelników” dowiadujemy się, że chce ona obsłużyć pozbowionych dotychczas literatury w rodzimym języku prawosławnych Polaków i chwalebnie zamierza z roku na rok, doskonalić treść i układ kalendarza.

Niełatwo napisać zajmujące sprawozdanie z kalendarza, bo już siłą rzeczy natrafiamy na powtarzającą się wszędzie, acz z pewnymi modyfikacjami, odwieczną już osnowę tego rodzaju wydawnictw, t. zw. *calendaria*. Szukać więc będziemy tu nie podobieństw, lecz różni: i odrębności typowych.

Przy każdym miesiącu kalendarza dano obrazki wiejskie, raz kunsztownie, raz zgoła prymitywnie od twarzające widok pól i robót polnych o różnych porach roku. Należy tylko pamiętać, że koń nie biegnie galopem podczas orki lub bronowania!.. Zadziwia czytelnika nieprawosławnego niepodległa dotąd redukcji ilość postów u prawosławnych, przypadających nieraz na *najgorętsze i najpracowitsze* miesiące lata. Jakże giętki a wygodny jest pod tym względem obrządek łaciński ze swymi dyspensami i interpretacjami!..

Alfabetyczny spis imion jest podany w brzmieniu słowiańskim i spolszczonym. W ostatnim są omyłki: *Damaskin* zam. prawosławnego *Damascen*, *Erotej* zam. *Eroteusz*, *Jetyisy* (sic) zam. *Elizeusz*, *Jezekiła* (sic) zam. *Ezechiel*, *Jowa* zam. *Hiob*, *Kałynyk* zam. *Kolinik*, *Manuił* zam. *Emmanuel*, *Nikita* zam. *Mikita*, *Pachomij* zam. *Pachomjusz*, *Partenij* zam. *Partenjusz*, *Sabbaty* (si.) zam. *Sabbatjusz*, *Stefanida* zam. *Stefanja*...

Dalej idą artykuły informacyjne. Np. „Co to jest Polska”? — Artykułik nienajgorszy co do treści, niepotrzebnie tylko posługuje się terminem Rusini, zamiast jedynie dziś właściwego Ukraińcy. Autor, jak widać, nie uznaje też całkiem istnienia pewnej ilości Rosjan. Zapomniał również wymienić w porę Żydów i przypomina ich dopiero wtedy, gdy pieje dytrymby na cześć polskiej tolerancji. Dlatego nie dziwimy się, że przy końcu artykułu wpadł on w nutę endecką, nazywając mającą tak wysoki odsetek mniejszości i tyle ziem etnograficznie obcych Rzeczpospolitą *własnym naszym Narodowym Państwem*... Końcowy w artykule cytat z Wyspiańskiego przytoczony jest jakoś niezgrabnie. Słowem artykuł neofity Polaka.

Wobec znanego sentymentu prawosławnych do kolebki chrześcijaństwa, nie mogło zabraknąć nota tek „Z Ziemi Świętej”. Z kolei — „Autokefalia Cerkwi Prawosławnej w Polsce”, gdzie tyśiąc pierwszy raz uzasadnia się jej *kanonicznie prawidłowa* (sic) *organizacja*. Prawie dogmatyczny jest króciutki artykuł „Syn Boży o Sobie”. Mimo swej nazwy, kalendarz nie ma charakteru ściśle cerkiewnego, bo poza poprzednim artykułem i drugim „Żywot Pawła Pustelnika”, czczonego też przez katolików, nic więcej tego rodzaju tu nie znajdziesz.

Część literacka kalendarza rozpoczyna wiersz „Na wieczór wigilijny” J. Znanieckiego, bardziej elegijny niż radosny, a pełen zgoła nieświątecznych refleksyj. Z przyjemnością znajdujemy tu znaną nam wszystkim od dzieciństwa balladę J. I. Kraszewskiego „Dziad i Baba”. Są i wierszyki patriotyczne jak w wypisach. Trafiała też K. Błakowiczówna z Inem i J. Kasprówic z „Sierotką”. Dalej obrazki: „Na Polesiu”, „Ten — co szukał szczęścia” i in.

Sporo spotykamy w kalendarzu propagandy szkolnictwa polskiego.

Dział porad — jest obfity a zajmujący. Nowością są tu „Najpospolitsze skróty w prasie polskiej” i „Słownik słów obcych”.

Ilustracje na osobnych kartach wykonane są starannie, zato o wiele gorzej w tekście. Naogół kalendarz zredagowany jest umiejętnie i mógłby za wzór służyć dla niejednego kalendarza ludowego, noszącego na karcie tytułowej dopisek: *Rok wydawnictwa* (taki a taki). Jeśli ponadto zważymy nie zwykłą taniość (80 gr., czy tylko nie dzięki subsydjum rządowemu?) kalendarza, łatwo możemy się spodziewać dlań szerokiego rozpowszechnienia, szczególnie na spolszczonym znacznie Podlasiu i w takiejże Chełmszczyźnie. Grek.

Prof. M. Römer o sytuacji.

Prof. Michał Römer, rektor Uniwersytetu Wiltolda Wielkiego w Kownie, rzadko zabiera głos publicznie w sprawach polityki aktualnej. Moment obecny widocznie jest przełomowy, skoro udzielił wywiadu współpracownikowi czasopisma „Sekmadienis” na temat sytuacji międzynarodowej we wschodniej Europie, w związku z zaostreniem się stosunków litewsko-niemieckich, podkreślając potrzebę nawiązania przez Litwę ściślejszego kontaktu z państwami sąsiednimi.

Ze strony Niemiec zagraża Litwie niebezpieczeństwo przedewszystkiem gospodarcze, lecz również i tetytorjalne, które grozi też wszystkim innym państwom Europejskim w razie wybuchu wojny. Wskazać środki, mogące to niebezpieczeństwo zażegnać, jest trudno, zwłaszcza wobec izolacji, w jakiej znalazła się obecnie Litwa. Winna ona nawiązać ścisły kontakt z sąsiadami, zawierając federację z Łotwą i Estonją. Należy pozatem szukać też innych przyjaciół, jak Finlandja i Skandynawja, które mogłyby przystąpić do paktu.

Ze strony Polski żadne niebezpieczeństwo Litwie nie zagraża. Żywotnym interesem dla niej jest, by państwa bałtyckie zachowały niepodległość i nie zostały zagarnięte przez Rzeszę Niemiecką. Polska sprzeciwi się stanowczo wszelkim próbom ekspansji niemieckiej na Wschód i w razie konfliktu litewsko-niemieckiego stanie po stronie Litwy. Konflikt taki nie zdaje się zagrażać bezpośrednio, gdyż usiłowanie Niemiec zagarnięcia kraju Kłajpedzkiego byłoby wielkim błędem. Spowodowałoby ono bowiem wystąpienie Polski i wszystkich państw bałtyckich.

Co do paktu polsko-niemieckiego, ze szczegółów jego zakulisowych znane jest jedynie zobowiązanie się Polski do udzielenia Niemcom pomocy w odzyskaniu kolonij. Niepodobieństwem jest natomiast, by Polska poświęciła dla Niemiec państwa bałtyckie.

Jeżeli chodzi o sprawę wileńską, spodziewać się należy, że aktywna polityka ministra Becka zdoła tę sprawę poruszyć z martwego punktu. Skoro zdołano zawrzeć pakt między Polską a Niemcami, gdzie tyle jest kwestyj spornych, powinien znaleźć się również wspólny język między Polską a Litwą. Nie należy przypuszczać, by Polska zgodziła się obecnie wyrzec całkowicie Wilna, lecz trzeba wziąć pod uwagę, iż zasada „wszystko lub nic” bywa niekiedy błędna. Do rozstrzygnięcia kwestji wileńskiej należy zbliżać się stopniowo, zaś pomocne w tym kierunku mogłyby być również zawarcie związku bałtyckiego.